

ŚWIADKOWIE CHWAŁY

Niech będzie błogostawiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa! On w swoim wielkim miłosierdziu przez powstanie z martwych Jezusa Chrystusa na nowo zrodził nas do żywej nadziei (1 P 1, 3).

Z miłości przeznaczył nas dla siebie jako przybranych synów przez Jezusa Chrystusa, według postanowienia swej woli, ku chwale majestatu swej łaski, którą obdarzył nas w Umiłowanym (Ef 1, 4-6).

I. CHWAŁA

1. Trynitarna chwała Boga

Zagadnienie chwały Bożej bywa często źle pojmowane na skutek świeckiego rozumienia tego pojęcia. Chwałę pojmuje się mianowicie jako cześć czy szacunek, którego sam Bóg domaga się dla siebie, o który jest strasznie zazdrosny i w podtrzymywaniu którego miałby pomagać Mu człowiek przez swe chwalenie należne Wszechmogącemu. Zgodnie z takim obrazem, Bóg jawi się mniej więcej jako Super-Narczy Zachwycający się kontemplowaniem samego siebie, i to do tego stopnia, że wszystko, co Nim nie jest, a więc całe stworzenie, spełnia funkcję zwykłego odbłasku światła emanującego z Jego bytu i zmierzającego wyłącznie do Niego. Tak pojmowana chwała byłaby jedynie nadmiarem własnej samosatisfakcji i swej własnej sławy zazdrośnie strzeżonej, której Jego stworzenia starają się Go nie pozbawić, lecz którą za wszelką cenę głoszą i proklamują, włączając się w ten triumfalny głos, jakim sam Bóg siebie wysławia. Chwała Boża zostaje tutaj opacznie pojęta jako własna reputacja, a tym samym jako pieśń pochwalna wymagana od człowieka! Jakże wielkie jest to jednak wypaczenie! W takim, godnym pożałowania, ujmowaniu chwała Boża staje się nie tym, co Bóg sam z siebie daje, lecz tym, co otrzymuje, co więcej, co otrzymuje dlatego, że jest to konieczne dla Jego własnej satisfakcji i czego może jako Wszechmogący domagać się od swych stworzeń.

Przetrzyjmy jednak nasze oczy poplamione wpatrywaniem się w zupełnie błędne obrazy Boga, wynikające z naszego lęku (kiedy się nie kocha, a tylko się boi), i postarajmy się spojrzeć tak po prostu na delikatną i wrażliwą wielkość Boga biblijnego. Ujrzymy wtedy z radością nie sławę czy cześć zachowywaną zazdrośnie dla siebie, lecz życie wydające się innym, nie pochwałę należną Bogu straszliwemu, lecz cześć ofiarowaną Temu, który nas wybrał jako pierwszy, nie gniew spowodowany brakiem należnego Mu kultu, lecz żar miłości zazdrosnej o miłość nieodwzajemnioną. Tutaj zwijają się zagle wszelkich zawołań wymaganych przez Boga dla uczczenia Go i zapala się światło niezwyklej wspaniałości. Albowiem chwałą Bożą nie jest to, co się zapala przy aplauzie ludzi, ale przeobfite życie, jakim On sam obdarza swe dzieci. W obliczu Boga biblijnego przechodzimy od pojęcia chwały Bożej, jaka jest należna obrazowi wymagającemu przesadnie chwały ludzkiej i starającemu się wszelkimi siłami o popularność wywołującą owację ludzi, do pojęcia, w którym miłość znajduje się w samym centrum: miłość, która nie oczekuje niczego i oddaje wszystko w sposób uprzedzający. Chwałą Boga jest Jego miłość miłosierna rozlewająca się na stworzenia. Jest to bogactwo Jego życia, pełnia Jego tajemnicy, zapominająca nawet o tym, iż On jest ośrodkiem i miejscem centralnym dla całego stworzenia, poczynając od ludzi, aby właśnie w nich przejawiała się przeobficie, albo raczej ujawniała się nadobficie, Jego miłość przelewana. Przejaw tego przelewania się pełni w obliczu samego Boga oraz w oczach ludzi i całego wszechświata jest właśnie chwałą Bożą.

Gdy mówimy o chwale Bożej, samym centrum definicyjnym tej chwały nie może być nic innego poza samym Bogiem, Tym, który jest i pozwala się nam poznać dzięki objawieniu biblijnemu. Bóg biblijny jest natomiast siłą, mocą, miłością, tajemnicą, radością. I dlatego nic bardziej błędnego, jak wyjmowanie zagadnienia chwały Bożej z tego totalnego objawienia i z tej pełni sensu, w jakich Bóg się ukazuje jako Ten, który jest: jako miłość absolutna. Wylewanie się tej miłości w samym Bogu i na zewnątrz stanowi specyficzną treść poprawnej refleksji biblijno-chrześcijańskiej na temat chwały Bożej. Mamy tu jednak przed sobą nie dające się wyrazić centrum: jakie słowa czy obrazy byłyby stosowne lub właściwe do przybliżenia nam tajemnicy tej miłości nadobfitej, która nam się objawia, poza słowami i obrazami tworzącymi wspólnie modlitwę, pieśń chwały? Czyż to nie światło, blask, splendor, słowa wskazujące na coś wspaniałego, co się nam objawia i staje się widzialne w swym otwarciu na człowieka? Ta tak wiele mówiąca, a zarazem niewypowiedziana widzialność Bożej miłości, przekraczająca wszelkie kategorie ludzkie, podobna do

niezmierzonych fal przenikających sam byt Boga, z którego przelewa się na zewnątrz, czyż nie jest tym, co H. U. von Balthasar nazwał „estetyką teologiczną”, chwałą Bożą, konkretyzującą się w nieskończoności form i figur, której poświęcił jedną część swojej monumentalnej trylogii?

Gdyby specyfiką Boga nie było to, że Jego rozlewająca się miłość ma w Nim samym postać będącą Jego doskonałym obrazem i konkretyzacją, to Bóg, ściśle monoteistyczny, wymagałby jakiegoś środka zewnętrznego w stosunku do siebie, który pozwalałby Mu rozlewać swą miłość coraz większymi falami. Czy jednak taki środek jako obcy dla Boga, nie powodowałby „zadłużenia” Boga wobec tej instancji zewnętrznej, stanowiącej jakby jakieś niedoskonałe zwierciadło tej Jego miłości, która w Nim samym nie znajduje właściwej i pełnej odpowiedzi? Wówczas zresztą również takie pojmowanie chwały Bożej, nad którą ubolewaliśmy na początku tego artykułu, byłoby jedynie logiczną konsekwencją ściśle monoteistycznego obrazu Boga, w którym chwała ludzka byłaby należnym Bogu odblaskiem Jego własnej chwały, pozbawionym jednak Bożej wspaniałomyślności (albowiem Bóg, nie mając doskonałego obrazu siebie w sobie samym, potrzebowałby nieodzownie takiego obrazu dla zapewnienia sobie własnego bytu), a równocześnie ludzkiej wdzięczności i wspaniałomyślności, jako że człowiek, będąc w swej stworzoności obrazem Boga, czułby się zobowiązany wypełnić ten brak w Bogu i aktualizować w sobie samym jedyny obraz bóstwa. Bóg zniewolony i człowiek zobowiązany: czy można mówić jeszcze o chwale, gdy nie ma miłości?

Jedyną możliwą poprawką takiego ujęcia jest stwierdzenie, iż Bóg tak dosłownie monoteistyczny w ogóle nie istnieje. Byt Boga jest trynitarny, a to oznacza — jak mówi nam objawienie chrześcijańskie — że Bóg jest miłością przed jakimkolwiek działaniem, które uczyniłoby z Niego to, czym On nie jest, czyli jest miłością samą w sobie. Będąc zaś miłością, nie potrzebuje niczego poza sobą do swej wiecznej satysfakcji, swej wiecznej radości, gdyż sam jest tym środkiem, w którym Jego rozlewająca się miłość przelewa się i znajduje doskonałe przyjęcie. Mówiąc w pojęciach trynitarnych: miłość Ojca potwierdza się w pełni w zrodzeniu Syna, który kocha Ojca tak samo mocno. Osobową pełnią tej wzajemnej miłości jest Duch Święty. Cóż zatem może zniewalać Boga poza Nim samym, skoro całkowicie na Jego miłość jako Ojca odpowiada Syn, który Go miłuje miłością równą tej, jaką rodzi Go Jego Ojciec? Czyż więc Syn nie jest najdoskonalszym obrazem Ojca, najpełniejszą Jego pochwałą, tak że w Nim samym Bóg potwierdza się w pełni i znajduje boską odpowiedź na swe boskie oddanie? A Duch Święty czyż nie jest tym wiecznym po-

dwojeniem, tą nieograniczoną ekspansją tej Bożej miłości, która w Nim przejawia się nadobficie, czynią Go Trzecią Osobą Trójcy Świętej? Syn Boży nie jest żadnym echem, ale osobową odpowiedzią daną Ojcu, a nieograniczone wylanie miłości ojcowskiej koncentruje się w Nim, czyniąc Go Jego własną, doskonałą ikoną. Jakże można by zatem wątpić, że Syn jest chwałą Ojca, skoro jest On absolutnym triumfem miłości ojcowskiej? I jak nie sądzić, że Ojciec jest chwałą Syna, skoro Ten wie, iż jest nienaruszalnym darem tej Pierwotnej Miłości? Dlaczego też opóźniamy się ze stwierdzeniem, że Duch Święty jest chwałą Ojca i Syna, wzrastającym nieustannie celebrowaniem tej miłości, której sam jest świadkiem i owocem? Chwała Boża jest przede wszystkim tym świętowaniem miłości w łonie samego Boga — która daleka od tego, by być miłością abstrakcyjną, krążącą żyłami jakiejś powszechnej i nieokreślonej istoty — jest najkonkretniejszą miłością trzech najbardziej konkretnych, choć niewypowiedzianych, Osób. Chwała trynitarna to płodność i rozlewanie się boskiej, osobowej miłości, przepelnionej sobą i w sobie.

Czyż nie przeczuwamy także, że chwała Boża, która się żywi własną nadobfitością, winna się rozlewać i przepelniać rzeczywistość zewnętrzną w stosunku do siebie? Czy nie czujemy, że jest to chwała twórcza?

2. Chwała człowieka i jego grzech

W rzeczy samej Bóg umiłował świat i go stworzył. Nie zachował dla siebie swojej wewnętrznej radości, lecz starał się podzielić nią ze stworzeniem: On, który niczego nie potrzebował dla podtrzymania swej doskonałej radości. Dochodząca w Nim samym do szczytu konieczność — wolność — miłowania i bycia kochanym, wyrażająca się na zewnątrz w Jego stwórczym działaniu, nie może mieć innego celu poza miłością ponad wszystko, ofiarowywaną innym darmowo i to w sposób bezwzględny. Czy zatem ten świat — dzieło pełnych miłości rąk Boga — pozna to nadobfite wylanie się Jego chwały? I czy rzeczywistość stworzona nie wielbi już jako taka samego aktu stworzenia, skoro jest on powołaniem do istnienia tego, czego nie było, przez prosty akt absolutnej miłości Boga? Miłość rozlewająca się bezkresnie w bycie Boga sięga teraz świata i w ten sposób Go wielbi. Bóg go stworzył dla siebie, choć poza sobą, jako inny przejaw swej chwały, nowe miejsce swej bezwarunkowej miłości.

A Bóg widział, że to, co stworzył, było dobre. Stworzył człowieka i widział, że był bardzo dobry. Człowiek, kustosz całego stworzenia, najdoskonalsze dzieło Boga. Już sam świat w nie-

skończonej różnorodności form i kształtów jest nieustannym wielbieniem miłości Boga. Co będzie jednak z człowiekiem, którego Bóg stworzył jako zdolnego odpowiedzieć świadomie na jego miłość? Bóg znajduje w człowieku swój najwyższy triumf, ponieważ daje mu szczególną zdolność bycia nie jakąś formą bierną, w której miłość się skupia, lecz podnosi go do stanu „postaci chwały”. W miarę jednak, jak człowiek dobrowolnie zgodzi się na tę miłość, która go stworzyła i która pragnie tylko tego, aby ją przyjął. Jedynie jego czynna i dobrowolna odpowiedź otworzy drogę do Jego uwielbienia. Niewyczerpane w swej głębi stwierdzenie św. Ireneusza nie powinno w tym względzie uchodzić za przesadne: „Chwałą Boga jest żyjący człowiek”. Chwała w Bogu jest pełnią Jego życia. Poza Nim, który wszystko sobą napełnia, ta sama pełnia życia wskazuje na obecność Jego chwały. Tym bardziej więc w człowieku wezwanym do dzielenia wraz z Bogiem Jego ożywiającego istnienia. Gdy człowiek żyje w prawdziwym tego słowa znaczeniu, Bóg triumfuje dzięki temu najmiłszemu stworzeniu. Jeżeli człowiek kocha Boga, nie ustaje bicie serca, które go ożywia, albowiem w nim samym mieszka Życie. Żyjąc w całej pełni, człowiek żyje Bogiem w sobie. Wypełnia się swym przeznaczeniem do chwały i tylko tą drogą sam staje się uwielbiony. Wypełnia też swe przeznaczenie do bycia obrazem Boga, albowiem odpowiedział swym życiem na tę pierwszą miłość, która Go stworzyła. Poza Bogiem ten, który jest głową całego stworzenia, aby w jego imieniu móc odpowiedzieć osobowo, potwierdził prawo chwały: że Miłość przepęlnia tego, kto kocha.

Tak sądził Bóg... Jednak człowiek nie postąpił zgodnie z tym myśleniem. Zgrzeszył, bo był wolny i wypaczył swe przeznaczenie chwały. Zdecydował swym czynem o innym losie: o ciemności i śmierci. Jego ciało stworzone po to, by było przybytkiem światła, stało się grobowcem ciemności. Miłość oddaliła się od niego i przestała się już przelewać w nieskończoność. Załamał się powszechny pochód chwały. W niebezpieczeństwie znalazło się całe piękno kosmosu, który Bóg powierzył człowiekowi. Czy jego ciało będzie jeszcze odbłaskiem dobroci Boga? Co zostanie z tej chwały w ciele, jaką jest sam człowiek? Przecież stworzenie ludzkie nie cieszy się większą godnością z tego powodu, że jest duchem, aniżeli że jest ciałem. A wyobraźnia teologiczna nam podpowiada, że ciało wiąże się z delikatnością, czułością, a Bóg, który jest samą tkliwością i czułością kiedy dostrzegł w swym odwiecznym spokoju dzień, w którym Jego Syn jedyny stanie się Człowiekiem — Ciałem, czyli eksplozją Bożego współczucia, zawartą w granicach Jego Błogosławionego Ciała, postanowił stworzyć nas na obraz swe-

go Syna, abyśmy byli mimo wszystko ciałem w chwale cielesnym trzaskiem i wybuchem tej tkliwości Boga.

Grzech przekreślił ten plan. Światło Boga, które miało być duszą człowieka z ciała i kości, zaciemniło się, a na jego miejscu pozostał duch zabłąkany, który jest tylko złudzeniem i cieniem. Czy ciało człowieka stanie się zastawem jego zwycięstwa? Czy nie będzie uwielbione? Czy pozostanie mu już tylko zdolność do sprawiania cierpień i bólu, pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia? Co się stanie z jego pięknem? I z jego boleścią?

3. Chwała Chrystusa

Syna, swój obraz doskonały, w którym rozpoznaje siebie, Ojciec nie zatrzymuje dla siebie. Przeciwnie, „ogołocił” Go z „samego siebie” (Flp 2, 7) i wysłał na świat, aby tu zamieszkał jak zwykły człowiek. Jako człowiek, Syn nie przestaje być nienaruszoną ikoną Ojca, gdyż nie przestał być Jego jedynym Synem, „w Nim bowiem mieszka cała Pełnia: Bóstwo, na sposób ciała” (Kol 2, 9). Chwała Ojca w Jego łonie jest obecnie — w ciele — Jego chwałą wobec ludzi, w świecie. Boski splendor stał się definitywnie cielesny, a światło z nieba zespoliło się na zawsze z ciałem Syna. Nie ma już chwały Bożej, która by się nie rodziła z ciała Słowa. W Jezusie dokonało się nieodwołalne wcielenie chwały, tej chwały, która w Bogu ma imię i oblicze osobowe, a której imieniem i obliczem jest obecnie Syn Maryi. Bóg zespolił swą pełnię z ograniczonym rytmem określonego i skończonego ciała, by przez nie pełnia ta obfitowała i rozciągała się na zawsze jako światło — z tego ciała uwielbionego. Od tej wyjątkowej chwili nieograniczona światłość Boga, Jego Syn odwieczny, mieszka w ciele jako w swym najlepszym przybytku. Jest światłem cielesnym, ciałem promieniującym. Ta pełnia miłości odpowiadającej na miłość, jaką jest Syn w łonie Boga, w łonie świata jest światłem, które przemieniło tę obecność miłości w ciało, w to ciało, które zamieszkuje Słowo, będące właśnie Słowem. Z chwilą, w której Bóg stał się człowiekiem, chwała zespoliła się na stałe z ciałem.

Pełnia Syna Wcielonego ukazuje nam pełnię człowieka. Wrażliwość Boga, jaką dostrzegamy w tym, że człowiek stał się ciałem duchowym, potwierdza się obecnie w naszych oczach przez to, iż wiemy, że to ciało Chrystusa stanowi definitywny triumf wrażliwości Ojca. Jesteśmy ciałem na obraz ciała pierwotnego Syna. Jesteśmy ciałem uwielbionym w Synu i przez Syna. Skoro (i znów wyobraźnia teologiczna podpowiada naszym uszom) odczuwamy niepokój wobec tego żaru, oznacza to, iż sam Syn odwieczny niepokoi nasze ciało. To On jest obecnie ciałem oświecającym, świa-

tłem ucieleśnionym, my zaś — ciałem oświecanym. Skoro naszym udziałem stało się dziedzictwo tych zaślubin, i to dziedzictwo nieodwołalne, to czy mamy coś innego od Boga poza Jego chwałą i Jego ciałem? W Chrystusie jedność ta stanowi fakt należący na zawsze do samej istoty Boga. Tajemnica miłości stała się ciałem, naszym kruchym ciałem, i przyjęła ciało, ciało Słowa. Należne uwielbienie stanowi więc już prawo całego kosmosu, albowiem Chrystus jest tym prawem. W ciele mądrość Boga wypisała swe pierworództwo chwały. Człowiek spowodował swoim grzechem odejście z drogi w planie Bożym. W dążeniu aż do ostatecznego wypełnienia się wszystkich rzeczy grzech ten oznaczał zerwanie, wstawienie innego planu przeciwnego myśli Bożej. Wobec takiej doli, słowa: cierpienie, zło i śmierć, znaczyły kres nowego kursu. Czy człowiek stanie się odtąd żertwą nienaprawialną swojej własnej winy? Czy stłamsi swe ciało i swą chwałę w konsumpcji znaku niezmiennego?

„Przez stworzenie wolności człowieka i na skutek wykonywania tejże wolności Bóg uzależnił się od człowieka” (Péguy). To pewne. I Bóg nie może niczego uczynić przeciwko tej wolności, gdy ta postępuje wbrew Jego zamierzeniom. Upadek człowieka nie zmienia jednak w niczym woli Boga, która jest wieczna. Bóg jest nieskończenie wierny. Oznacza to, że nienaruszoną w niczym i niezmienną pozostaje obietnica uwielbienia wszystkiego, łącznie z drogą aż do tej mety, w której nastąpi uregulowanie wszystkiego, wraz z tym niszczycielskim przeznaczeniem, jakie sam człowiek wszczepił w swoje istnienie. Jaki znak otrzyma wówczas wcielenie chwały? Nasze ciało nie jest rajske, albowiem jest ciałem grzechu. Wina uwypukliła w jego fałdach świętości nowe znamię. Ku jakiemu ciału skieruje Bóg swą chwałę w chwili, gdy Jego miłość zechce przekroczyć samą siebie? Chrystus jest „arcykapłanem: świętym, niewinnym, nieskałanym, oddzielonym od grzeszników”, takim, jakiego „potrzeba nam było” (Hbr 7, 26). Doświadczył też na sobie wszystkich naszych słabości „z wyjątkiem grzechu” (Hbr 4, 15). Jego ciało jest chwalebne, przejrzyste, bez skazy. Jego wcielenie jest jednak nie tylko uwielbiające, ale także zbawiające. Albowiem człowiek znajdował się pod jarzmem grzechu. Zbawienie zaś sugeruje całkowitą solidarność z tą rzeczywistością, którą przyjął jako własną. W konsekwencji, czy Chrystus nie zespała się w jakiejś mierze z dziedzictwem tego świata? Bóg jest człowiekiem i jest ciałem, ale nie ciałem byle jakim, lecz ciałem bólu, skończoności i nędzy, ciałem wystawionym aż do końca na żądło cierpienia ludzkiego. Bóg znajduje upodobanie w naszym ciele i w naszej krwi, albowiem jest to ciało i krew Jego umiłowanego Syna. Upodobanie to jednak jest pełnym miłości i miłosier-

dzia zstępowaniem do nas, a tym samym przyjęciem na siebie rany otwartej przez grzech w naszym ciele.

Oto godzina krzyża. Ale wraz z Ewangelistą Janem możemy zaraz dodać: „i chwały”. Jan przytacza bowiem słowa Jezusa: „Nadeszła godzina, aby został uwielbiony Syn Człowieczy” (J 12, 23). Czy nie chce przez to powiedzieć, że blask Boży nie ulegnie zaciemnieniu na Golgocie? I czy nie chce nas pouczyć o tym, jak głęboka jest tkanina chwały Bożej, skoro mieszczą się w niej także nici krzyża Chrystusa? Jest to moment, w którym we wzajemnym wydaniu się Ojciec i Syn objawiają „pełnię swej miłości” (J 13, 1). Jest to godzina ciemności. Ale Jan mówi: „Ciemność służy światłu”. Albowiem miłości tak wielkiej nie potrafi zasłonić żaden krzyż. Krzyż Jezusowy może jedynie ją objawić. Godzina Jego śmierci i opuszczenia staje się więc zwycięska dla chwały Bożej, która przenika ciemności nocy. Światłem jest także krzyż usunięty. To triumf ciała dawnego, teraz już nowego, Jego ciała ukrzyżowanego, z którego wypływają krew i woda. W łonie Boga, Jego chwała i Jego ciało stają się, mocą krzyża, Jego własną chwałą i Jego własną raną. Nie zaginął ból człowieka. Ale jego cierpienie nie jest bezpłodną słomą. Żar Boży przeniknął jego rozdarcie. Na próżno bowiem nieskończoność Boga pocieszałaby skończoność człowieka, jeżeliby nie zawierała przymierza między własną chwałą a naszym zranieniem, aby wyniszczyć swą chwałę, by nasza rana się zablizniła i by były... jedną zranioną chwałą. Jezus zaś w swym rozdartym ciele trzeciego dnia zmartwychwstał.

II. ŚWIADKOWIE CHWAŁY

Wszystko, co powiedzieliśmy dotychczas, miało być jedynie wstępem do tej drugiej części naszej refleksji. Wstępem koniecznym, w rzeczy samej. Jeżeli bowiem chcemy powiedzieć coś konkretnego na temat świadków chwały, trzeba było koniecznie wyjaśnić wcześniej, o jaką chwałę chodzi. Również teraz powinniśmy sprecyzować bliżej tych świadków, gdyż *a priori* każdy chrześcijanin jest takim świadkiem. Będziemy zatem mówili przede wszystkim o artystach chrześcijańskich i o poetach (w szerszym tego słowa znaczeniu).

Każdy chrześcijanin — podkreślamy raz jeszcze — świadczy o chwale. Oznacza to, iż daje on poznać światu nie tylko pełnię tej miłości, jaką jest Bóg sam w sobie, ale także jej promieniowanie na cały wszechświat. To promieniowanie Bożego miłosierdzia na stworzenie stanowi niezmierną podstawę jego piękna. Świadectwo chrześcijańskie powinno, rzecz oczywista, uzasadniać siebie na podstawie tego kanonu prawdy, jakim jest Jezus Chrystus; ale

jest też dziełem twórczym, ponieważ aktualizuje impulsy Ducha Świętego, który — będąc zawsze Duchem Chrystusa — jest nie-kończenie twórczy. Otóż ten aspekt twórczy, obecny w każdym świadectwie, zarówno słownym, jak też czynnym, a tym samym będący nieodłączną właściwością każdego autentycznego chrześcijanina, stanowi rys istotny artysty chrześcijańskiego, podniesiony w nim do najwyższego stopnia. Zakładając więc, że artysta pielęgnuje piękno, trzeba stwierdzić, że on jako chrześcijanin rodzi to piękno jako córę chwały Bożej, której sam jest pierwszorzędnym świadkiem.

Jako wyznawca chwały, artysta chrześcijański przenika oczyma przepelnionymi miłością plan tejże chwały. A jest to plan Słowa: istnieć uprzednio w Bogu jako Syn odwieczny, istnieć na ziemi jako Jezus, Syn Wcielony, łącznie ze swą męką i śmiercią na krzyżu, oraz proegzystować w niebie jako Chrystus zmartwychwstały, Pan wszechświata, w którego ciele tkwią nadal przemienione rany. Jak da świadectwo piękna, mając przed oczyma ten właśnie los? Artysta wie, iż piękno jest nie tylko transcendentnym wymiarem bytu, ale także chwały. Wie ponadto dobrze, że w ostatecznym wypełnieniu całe piękno tego świata zanurzy się w chwale Bożej, aby się nią żywić i bez niej nie ukazywać. Jeżeli jest to pewne, to czy artysta chrześcijański będzie mógł tworzyć piękno, nie zespalając go równocześnie z tym celem chwały, Słowem Wcielonym, któremu powinien dawać pierwszorzędne świadectwo? Bez wątpienia, nie. Z drugiej strony, uwarunkowania dzieła sztuki sugerują coś innego. Produkt pracy artystycznej jest wynikiem zespolenia światła z materią. Wcielenie światła, oświecenie nim materii, dokonują cudu i wzmacniają piękno. Jakim zaś lepszym wzorcem tej kombinacji materii i światła może posłużyć się artysta, jeżeli nie samym ciałem Chrystusa, tą boską jasnością, która stała się ciałem? Cóż zresztą przeszkadza, by twórca wierzący Chrystusowi wypełniał swą pracę nad pięknem na wzór tego ciała, które jest przybytkiem chwały? Czyż nie wyznanie ciała Jezusa pozwala twórcy chrześcijańskiemu być wiernym chwale Boga i pięknu świata, albowiem stanowi ono miejsce zjednoczenia ich obu, względnie zawiasy, na których jedno podtrzymuje nieustannie drugie? Jeżeli godzimy się na to, nie będziemy się wahali z twierdzeniem, że prawdziwe i dobre piękno nie może kroczyć drogą odrębną od drogi ciała Chrystusowego: być najpierw świetlanym ciałem na ziemi pośród ludzi; następnie być, w momencie decydującym, ciałem zaciemnionym na krzyżu; być wreszcie ciałem uwielbionym w niebie po prawicy Boga Ojca. Wprowadzając piękno w życiowy rytm Chrystusa, artysta naśladowujący Jezusa wydobywa je z zakłamania i zła tego świata i przedstawia jako

córę chwały, z której zawsze się rodzi. Jedynym pięknem, na którym się opiera wszelka nadzieja, jest to, z którego ramion zwisają prawda i dobro — dwie inne rzeczywistości transcendentne. Skoro zaś to dobro i ta prawda są człowiekiem ukrzyżowanym, Jezusem Chrystusem, to również piękno nie przyjmujące ofiary krzyżowej nie stanie się nigdy źródłem nadziei. Skoro bowiem nie ma Chrystusa zwisającego na drzewie, który nie miał „wdzięku ani też blasku, aby na Niego popatrzeć” (Iz 53, 2), brakuje Mu też autentycznego piękna. Chrystus jednak został uwielbiony na krzyżu przez Ojca chwałą przewyższającą wszelkie piękno ludzkie i wymagającą, aby ono umarło właśnie u stóp krzyża: W chwili, gdy jej starsze siostry: prawda i dobro, zostają przybite do drzewa i otrzymują koronę cierniową. W dniu zmartwychwstania, gdy Chrystus wznosił się do nieba i zasiadł po prawicy Ojca, chwała zespała się ponownie z pięknem, teraz już przemienionym, z raną w Jego boku. Staje się też orbitą sensu, czucia i życia osobistego, w której winna się obracać cała działalność artystów głoszących wiarę w Jezusa Chrystusa.

Zadaniem artysty wobec świata jest dawanie świadectwa chwale Chrystusa poprzez zapisywanie w rejestrze piękna Jego umiłowanego oblicza. Artyści powinni ofiarować swoje dzieło i swe ciało jako drogę uwielbienia ich przez Słowo. Powinni sprawiać, by zstępowało Ono z nieba i przenikało ich duszę, a dzięki ich rękóm z koloru ziemi było na nowo kształtowane pod działaniem Ducha, by zostać potem wydane ludziom. Jakież inne może być dla ich inspiracji pole działania poza świętością, skoro w obliczu świętych odbija się jasnym światłem światłość Chrystusa? Czy zresztą człowiek święty nie jest tym, który ma szczególne wyuczucie piękna? Niewątpliwie, święci są szczególnymi świadkami chwały Bożej, gwardianami piękna świata. Któż lepiej od nich dostrzeżga w piękności stworzenia przeblask piękna teologicznego, świetlany blask chwały Bożej? I któż, jeżeli nie sam święty, jednoczy się z kenozą chwały w Chrystusie i jej towarzyszy w jej uniżeniu? Dzieło twórców chrześcijańskich powinno w konsekwencji wzrastać pod patronatem świętych. Ich misja jako „grzeszników, którzy poświęcają się w swym dziele idei świętości i ją odtwarzają swymi usługami”, sprawia, że są oni „jak lustro szczególne, które odzwierciedlają porządek i piękno świętych, idą po linii piękna teologicznego oraz są jego świadectwem w chwili obecnej” (H. U. von Balthasar). Kim była we Francji postać świętej Joanny d’Arc dla takich twórców, jak Bloy, Claudel, Péguy czy Bernanos, jeżeli nie nieodrzucałym wprost świadectwem chwały Bożej i chwały ludzkiej, jak też siłą natchnienia dla kształtowania piękna teologicznego? Świętość i piękno przynależą do tego same-

go porządku; posiadają także obiektywną homogeniczność z Ewangelią. Artysta chrześcijański powinien przebywać wśród świętych. W zrealizowanej przez nich chwale (albowiem żyją już oni w Bogu) znajdzie on bezpieczny teren do przybliżania, idąc ścieżką piękna, ludziom przemienionego oblicza Chrystusa.

Świadkowie chwały... i cierpień człowieka. Miłosierna miłość Boża ukazuje się najbardziej tam, gdzie oczy ludzkie nie dostrzegają wcale piękna. Oczy Boże natomiast widzą nie dające się odcyfrować ściśle wewnętrzne przymierze urzeczywistnione przez chwałę Bożą i boleść człowieka: Jezusa umarłego na krzyżu. Twórcy chrześcijańscy, którzy pieszczą w swych palcach niezliczone nici, jakimi chwała Boża haftuje piękno oglądane ich oczyma, czują dobrze, iż powinni dołożyć wszelkich starań, aby wyrazić te niewyrażalne dotknięcia Bożego światła w zranionym ciele człowieka. Skoro zaś ich solidarność z cierpieniem braci wyraża się w mówieniu im o pięknie samego cierpienia, powinni najpierw wpatrywać się w cierpienia Chrystusa, które zachwyciły swym pięknem oczy Boga Ojca, chociaż świat dostrzegał jedynie Jego brzydotę, i powinni Go przyjmować, ponieważ niezwykle mocny jest głos proroczy Jego serca, który kieruje do nich wciąż te pytania: Czyją ręką cierpienie świata wypisuje swe krzywe linie? Do jakiego ciała zbliża się teraz huragan boleści? W jakiej niezmierzonej piersi zanurza swe ostrza nędza śmierci? Czyje usta wypiją cały ten potok niełaski? Czy cierpienie samo się zatraci w głębokich szczelinach świata? Czy też stanie się pożywieniem dla ran Chrystusa ciągle wzrastającego? Czy dawne udęczenie świata będzie wciąż odnawiało swe oblicze w świetle, jakie zstępuje z korony cierniowej? Są to pytania, których serce artysty i chrześcijanina nie jest w stanie stłamsić. I chociaż nie może on sobie pozwolić na estetyczną egzaltację cierpienia, która byłaby czymś zgoła niechrześcijańskim, to przecież wie, że powinien prowadzić cały ból tam, gdzie zostaje on odkupiony i gdzie nabiera tym samym piękna: do ziemi, na której wznosi się krzyż Chrystusa, na górę Golgoty, gdzie z blasku Bożej chwały i ciemności niełaski rodzi się piękno znane tylko Bogu i Jego świętym. Jest to owo piękno, które twórczy geniusz powinien wyrażać pod inspirowanym działaniem Ducha Świętego. W ten sposób, gdy świat spogląda na objawienie się Chrystusa zmartwychwstałego, artyści pomagają, by tajemnice bólu zdążyły z nadzieją ku tajemnicom chwały. Pomagają odkupić zagubione cierpienie. Jakże przejmująca — i na tym kończymy — jest prośba wyrażona przez Jeanette, jedną z protagonistek dramatu „Tajemnica miłości Joanny d’Arc” wielkiego Péguy: „Jak to się dzieje, że tyle cierpień idzie na marne?”. Pytanie to zostaje skierowane do Madame Gervaise,

innej protagonistki, która stwierdziła: „To tajemnica, córko, największa tajemnica stworzenia. Jest to tajemnica większa niż samo stworzenie i odkupienie, niż tajemnica wcielenia i tajemnica odkupienia”. A cytowany wyżej teolog szwajcarski, H. U. von Balthasar mówi, że poeci „poświęcają się w swym dziele jednej idei świętości i ukazują ją swą pracą”. Czyż nie nadszedł obecnie czas, by ukazać świętość kenotyczną, zstępującą, jedyną zdolną do zsolidaryzowania się z tym zatraconym cierpieniem? Jaka inna świętość, jeżeli nie ta, jest w stanie przyłgnąć do wszystkich boleści wypędzonych z Jerozolimy, do tych, których poszukuje niestrudzenie, i tych, które stara się wykupić z nie tracącym nadziei uporem? Czyż nie jest to świętość samego Jezusa? Jeżeli zaś rzeczy tak się mają, to artyści ukazujący (lub kształtujący) tę świętość w swoich dziełach, wspierają Jezusa w Jego wędrówce do miejsca, na którym przebywa zagubione cierpienie. Albowiem nie wypełni się wszystko w Królestwie Ojca, zanim nie wrócą do Chrystusa wszelkie przejmujące boleści, które nie znają jeszcze swego odkupienia, i zanim nie obmyją swego oblicza wodą i krwią, które wytryskują z Jego przebitego boku. A właśnie nie jest obca temu zbawczemu oczyszczeniu misja twórców, którzy przez swe świadectwo, dawane cierpieniu w świetle chwały, przygotowują to cierpienie na definitywne oczyszczenie, jakie nastąpi kiedyś w łonie samej niewypowiedzianej piękności Boga.

Gdzie są jednak obecnie tacy świadkowie?

tłum. ks. Lucjan Balter SAC